



# Juliusz Verne

## Testament ekscentryka

(Część pierwsza)



ISBN 978-83-65753-80-9 (całość)

ISBN 978-83-65753-81-6 (cz. 1)





LE  
TESTAMENT  
D'UN  
EXCENTRIQUE

Roux

V.M.



**Juliusz Verne**



# **TESTAMENT EKSCENTRYKA**

Przełożył i przypisami opatrzył Andrzej Zydorczak

**Pięćdziesiąta dziewiąta publikacja elektroniczna wydawnictwa JAMAKASZ**

Tytuł oryginału francuskiego: *Le Testament d'un excentrique*

© Copyright for the Polish translation by Andrzej Zydorczak, 2019

63 ilustracje, w tym 9 kolorowych i mapka: George Roux  
(zaczepnięte z XIX-wiecznego wydania francuskiego)  
plansza do gry „Gęsi” z XIX wieku, plansza do gry „Stany Zjednoczone Ameryki”

Redakcja: Marzena Kwietniewska-Talarczyk

Konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

Patron serii „Biblioteka Andrzeja”:  
Polskie Towarzystwo Juliusza Verne’a

**Wydanie I**

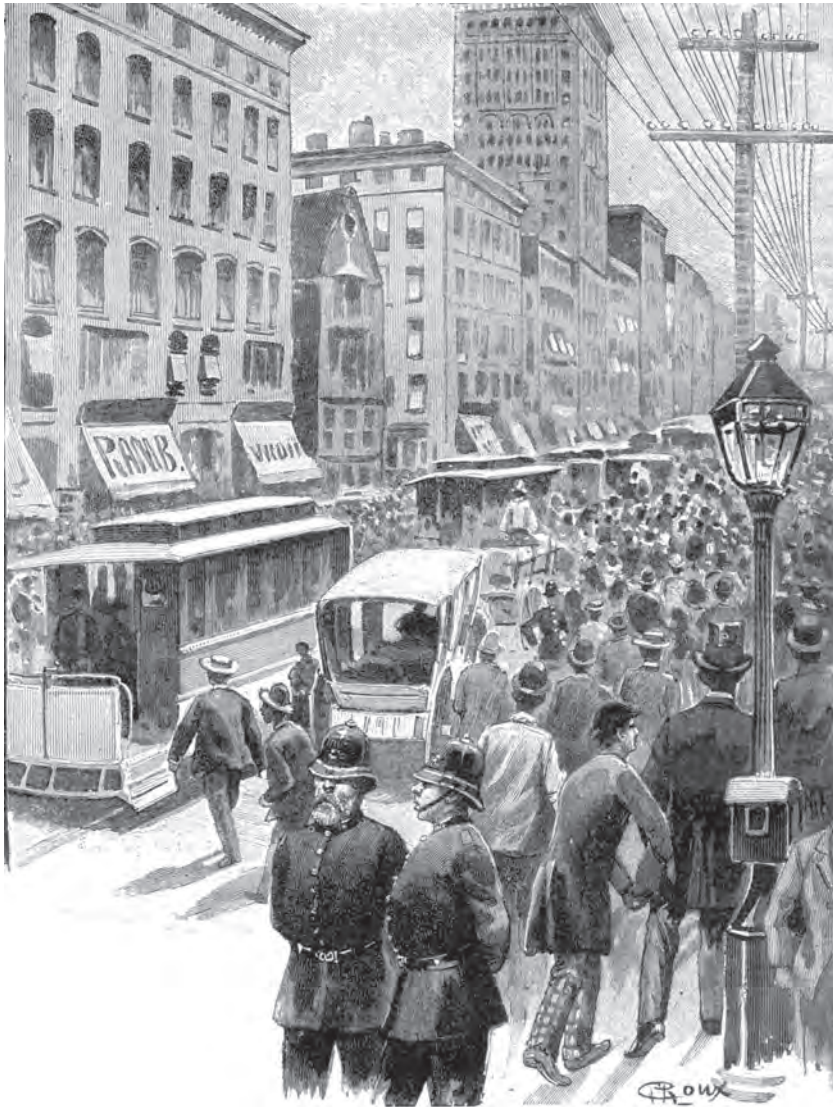
© Wydawca: JAMAKASZ

Ruda Śląska 2019

ISBN 978-83-65753-80-9 (całość)

ISBN 978-83-65753-81-6 (część 1)

# Część pierwsza



# Rozdział I

## *Całe miasto świętuje*

Cudzoziemiec, przybywszy rankiem trzeciego kwietnia 1897 roku do głównego miasta stanu Illinois, słusznie mógłby uważać się za wybrańca boga podróżników. Tego dnia jego notatnik zostałby wzbogacony o wiele ciekawych wiadomości, dających podstawę do napisania sensacyjnych artykułów. Z pewnością gdyby przedłużył swój pobyt w Chicago najpierw o kilka tygodni, a następnie o kilka miesięcy, byłoby mu dane uczestniczyć w części emocji, palpacji, nadziei i rozpacz, rozgorączkowania, a nawet oszołomienia tego wielkiego miasta, które już nie panowało nad sobą.

Od ósmej rano ciągle rosnący tłum kierował się w stronę dwudziestej drugiej dzielnicy. Jest to jedna z najbogatszych dzielnic, położona między North Avenue a Division Street w układzie równoleżnikowym, a układzie południkowym pomiędzy North Halsted Street a Lake Shore Drive, którą oblewają wody jeziora Michigan. Jak wiadomo, nowoczesne miasta Stanów Zjednoczonych mają ulice zorientowane zgodnie z szerokościami i długościami geograficznymi i buduje się je tak regularnie, jak linie na szachownicy.

– Coś takiego! Czy cała ludność miasta najedzie tę dzielnicę...? – zapytał policjant stojący na skrzyżowaniu Beethoven Street i North Wells Street.

Był to mężczyzna wysokiego wzrostu, z pochodzenia Irlandczyk, i jak większość jego kolegów z korporacji, w sumie dzielnych strażników prawa, wydający znaczną część pensji wynoszącej tysiąc dolarów na zwalczanie niedającego się ugasić pragnienia, tak naturalnego u mieszkańców zielonej Erin<sup>1</sup>.

– Będzie to korzystny dzień dla kieszonkowców – odpowiedział jeden z jego towarzyszy, równie wysoki, równie zaaferowany i nie mniej irlandzki niż tamten.

– Dlatego też – mówił dalej pierwszy – niech każdy pilnuje dziś swojej kieszeni, jeśli nie chce po powrocie do domu zastać jej próżnej, ponieważ my już temu nie podołamy...

– Myślę, że dzisiaj będziemy mieli dość roboty – stwierdził drugi – choćby ofiarowywać ramię damom przy przechodzeniu przez skrzyżowanie.

– Założę się, że i tak ze sto z nich zostanie kontuzjowanych! – dodał jego towarzysz.

Na szczęście w Ameryce panuje doskonały zwyczaj troszczenia się samemu o siebie, bez wzywania do pomocy administracji, która i tak nie jest zdolna jej udzielić.

Tymczasem jakież natłok groził dwudziestej drugiej dzielnicy, jeżeli tylko połowa ludności chicagowskiej by się do niej przeniosła! Metropolia liczyła wówczas nie mniej niż milion siedemset tysięcy mieszkańców, z czego około jednej piątej urodzonych w Stanach Zjednoczonych. Niemcy mogliby się domagać blisko pięciuset tysięcy, Irlandczycy prawie tyle samo. Jeśli chodzi o resztę, to Anglików i Szkotów było pięćdziesiąt tysięcy, Kanadyjczyków czterdzieści tysięcy, Skandynawów sto tysięcy, Czechów i Polaków mniej więcej tyle samo, Żydów około piętnastu tysięcy, a Francuzów około dziesięciu tysięcy, czyli znikomy procent całej aglomeracji.

Zresztą miasto, jak to zauważa Élisée Reclus<sup>2</sup>, nie zajmuje całego terytorium, jakie ustawodawcy wyznaczyli nad brzegiem jeziora Michigan, obszaru o powierzchni czterystu siedemdziesięciu jeden kilometrów kwadratowych – mniej więcej równego departamentowi Sekwany<sup>3</sup>. Kiedy liczba ludności znacznie wzrosnie – co nie jest niemożliwe, a nawet wydaje się bardzo prawdopodobne – to zaludni cały obszar czterdziestu siedmiu tysięcy hektarów.

Oczywiste było, że tego dnia ciekawscy napływali z trzech sekcji, na jakie dzieli miasto rzeka Chicago ze swymi dwiema odnogami od północnego zachodu i od południowego zachodu, z North Side, jak i z South Side, uważanych przez niektórych podróżników za będące: pierwsze przedmieściem Saint Germain, drugie przedmieściem Saint Honoré<sup>4</sup> tego wielkiego miasta stanu Illinois. Prawdą było, że napływ ludzi dokonywał

<sup>1</sup> Erin – starożytna nazwa Irlandii, nadana na cześć bogini Eriu.

<sup>2</sup> Élisée Reclus (1830-1905) – francuski geograf i podróżnik; od 1892 profesor Instytutu Geograficznego w Brukseli; w roku 1851 podróżował po USA, Kolumbii i Ameryce Środkowej; skazany na wygnanie za działalność polityczną; autor *La Nouvelle Géographie universelle, la terre et les hommes* [Nowa geografia ogólna, ziemia i ludzie] w 19 tomach.

<sup>3</sup> Departament Sekwany – istniejący w latach 1790-1968 francuski departament z siedzibą w Paryżu, noszący nr 75; utworzony 4 marca 1790 roku pod nazwą departamentu Paryża; w 1795 roku jego nazwę zmieniono na departament Sekwany (fr. Seine); od 1929 do jego zniesienia w 1968 roku obejmował miasto Paryż oraz 80 otaczających go gmin i miał ok. 480 km<sup>2</sup>, z czego 22% stanowiło terytorium Paryża.

<sup>4</sup> Saint Germain, Saint Honoré – dawne dzielnice Paryża.



się także z kąta położonego na zachodzie, pomiędzy dwiema ramionami rzeki. Chociaż mieszkali w mniej eleganckiej sekcji, to nie wydawali się mniej skłonni dostarczyć swój kontyngent do całej masy publiczności, nawet z tych lichych domostw z okolic Madison Street i Clark Street, gdzie roilo się od Czechów, Polaków i Włochów oraz pewnej liczby Chińczyków, którzy zwiali zza parawanu Niebiańskiego Cesarstwa<sup>5</sup>.

Tak więc cały ten exodus<sup>6</sup> kierował się ku dwudziestej drugiej dzielnicy tłumnie i hałaśliwie, a osiemdziesiąt ulic, które się w niej znajdowały, nigdy nie były w stanie pomieścić napływu takiego tłumu.

W tym ludzkim roju mieszały się najróżniejsze klasy ludności: funkcjonariusze Federal Building<sup>7</sup> i Post Office<sup>8</sup>, sędziowie Court House<sup>9</sup>, znaczniejsi członkowie Rady Hrabstwa, radni miejscy z City Hall<sup>10</sup>, personel tego olbrzymiego karawanseraju<sup>11</sup> Auditorium<sup>12</sup>, którego pokoje liczą się w tysiącach, niżsi urzędnicy z wielkich, nowoczesnych sklepów, magazynów i bazarów panów: Marschalla Fielda<sup>13</sup>, Lehmana<sup>14</sup> i W.W. Kimballa<sup>15</sup>, robotnicy z fabryk smalcu i margaryny, które wytwarzają doskonałej jakości masło po dziesięć centów lub dziesięć sou za funt<sup>16</sup>, pracownicy zakładów kolejarskich sławnego konstruktora Pullmana<sup>17</sup> przybyli z dalekich południowych przedmieść, sprzedawcy z wielkiej firmy Montgomery Ward and Co.<sup>18</sup> prowadzącej sprzedaż wysyłkową, trzy tysiące pracowników McCormicka<sup>19</sup>, wynalazcy słynnej żniwiarki, ci od wielkich pieców hutniczych i walcowni, gdzie w ogromnych ilościach produkuje się stal besemerowską<sup>20</sup>, ci z fabryk pana J. MacGregora Adamsa, pracujący przy wytapianiu niklu, cyny, cynku, miedzi i rafinowaniu złota oraz srebra, wielu z manufaktur obuwia, w których urządzenia zostały tak udoskonalone, że na zrobienie jednego bucika wystarcza im półtorej minuty, jak również tysiąc ośmiuset robotników z fabryki w Elgin<sup>21</sup>, którzy dostarczają handlowi dwa tysiące zegarków dziennie.

Zechcemy jeszcze do tej tak już poważnej i długiej listy dodać personel zajęty przy obsłudze olbrzymich elewatorów w Chicago, które jest głównym światowym rynkiem w obrocie zbożami. Dalej powinno się wspomnieć o urzędnikach całej sieci kolei żelaznych, które z dwudziestoma siedmioma liniami i ponad tysiąc trzystu pociągami dowożą codziennie do miasta sto siedemdziesiąt pięć tysięcy pasażerów. Do nich należy dołączyć ludzi zatrudnionych przy obsłudze parowych i elektrycznych autobusów oraz kolejek liniowych, którzy dziennie przewożą dwa miliony osób, a w końcu przewoźników i marynarzy wielkiego portu, którego ruch handlowy wymaga dziennie około sześćdziesięciu statków na swe usługi.

<sup>5</sup> *Niebiańskie Cesarstwo* – Chińczycy określali swój kraj m.in. terminem Tianxia, czyli „To, co znajduje się pod Niebem”, a cesarza nazywali Synem Nieba; stąd w Europie używano niekiedy nazwy „Niebiańskie Cesarstwo”, a jego mieszkańców zwano „Niebiańczykami”.

<sup>6</sup> *Exodus* – masowe wyjście, masowa emigracja.

<sup>7</sup> *Federal Building* – budynek lokalnych biur różnych departamentów i agencji rządowych w krajach o systemie federalnym; rozbiórkę wymienionego przez autora budynku w Chicago (powstałego w 1880 roku) rozpoczęto w czerwcu 1896 roku, a ukończono w 1898.

<sup>8</sup> *Post Office* (ang.) – urząd pocztowy.

<sup>9</sup> *Court House* (ang.) – gmach sądu.

<sup>10</sup> *City Hall* (ang.) – ratusz, siedziba władz miejskich.

<sup>11</sup> *Karawanseraj* – w krajach muzułmańskich dom zajezdny dla karawan lub miejsce ich postoju, z pomieszczeniami dla podróżnych, niszami chroniącymi przed słońcem, magazynem do przechowania towarów, często o charakterze obronnym; tu w żartobliwym znaczeniu.

<sup>12</sup> *Auditorium Building* – budynek w Chicago zaprojektowany przez Louisa H. Sullivana i Dankmara Adlera, oddany do użytku w 1889 roku; w XIX wieku był najbardziej znanym na świecie budynkiem w Chicago; mieścił scenę z widownią na 4237 osób, hotel liczący 400 pokoi oraz 136 biur.

<sup>13</sup> *Marshall Field* (1834-1906) – amerykański przedsiębiorca, założyciel Marshall Field and Company, sieci sklepów w Chicago; jego firma słynęła z wyjątkowego poziomu jakości i obsługi klienta.

<sup>14</sup> *Lehman* – u. J. Verne'a: Lehmann; chodzi tu o braci Henry'ego, Emanuela i Mayera Lehmanów, żydowskich imigrantów z Niemiec, którzy w 1850 roku założyli firmę „Lehman Brothers”, w czasach Verne'a zajmującą się handlem bawełną, doradztwem finansowym i rynkiem obligacji kolejowych; po 1906 roku zajęła się wszelkimi operacjami w sektorze bankowym.

<sup>15</sup> *William Wallace Kimball* (1828-1904) – amerykański przedsiębiorca, założyciel Kimball Piano Company (obecnie Kimball International), firmy znanej z produkcji fortepianów i organów.

<sup>16</sup> *Sou* (sol, solid) – zdawkowa moneta francuska, 1/20 franka, odpowiadająca wówczas w Polsce 3 groszom; *funt* – jednostka masy i ciężaru, w krajach anglosaskich równa 0,454 kg.

<sup>17</sup> *George Mortimer Pullman* (1831-1897) – amerykański przemysławiec, konstruktor sypialnych wagonów kolejowych nazywanych później jego nazwiskiem.

<sup>18</sup> Założycielem tej firmy z siedzibą w Chicago był Aaron Montgomery Ward (1843-1913), amerykański przedsiębiorca, który dorobił się fortuny na sprzedaży wysyłkowej produktów powszechnego użytku dla klientów z obszarów wiejskich.

<sup>19</sup> *Robert McCormick jr.* (1780-1846) – u. J. Verne'a: Mac Cormick; amerykański wynalazca wielu urządzeń, w tym wersji żniwiarki, którą jego najstarszy syn Cyrus McCormick opatentował w 1834 roku; chociaż żył na wsi w Wirginii, był patriarchą rodziny McCormick, która stała się wpływową na całym świecie, szczególnie w dużych miastach, takich jak Chicago, Waszyngton i Nowy Jork.

<sup>20</sup> *Stal besemerowska* – stal otrzymywana w konwertorze Bessemera.

<sup>21</sup> *Elgin* – miasto w Stanach Zjednoczonych, w stanie Illinois, 65 km na zachód od Chicago, założone w 1836 roku; w tym mieście stowarzyszenie National Watch Company wybudowała fabrykę zegarków, której nazwę w roku 1874 zmieniono na Elgin National Watch Company; firma istniała do 1968 roku.

Chyba trzeba by było być ślepym, żeby nie dostrzec w tym tłumie dyrektorów, redaktorów, składaczy i felietonistów pięciuset czterdziestu dzienników lub tygodników prasy chicagowskiej. Trzeba by być chyba głuchym, by nie słyszeć okrzyków maklerów giełdowych, *bulls*, czyli spekulantów nawyżkę, lub *bears*, czyli spekulantów na niżkę akcji, jak gdyby znajdowali się w pracy w Board of Trade albo Wheat Pit, to jest Giełdy Zbożowej. I z całym tym wrzeszczącym tłumem szedł także personel banków narodowych lub stanowych: Corn Exchange, Calumet, Merchants' Laone Trust and Co., Fort Dearborn, Oakland, Prairie State, American Trust and Saving, Chicago City Guarantee of North America, Dime Savings, Northern Trust and Co. i tak dalej, i tak dalej.

Jakże też można by zapomnieć w tej publicznej demonstracji o uczniach college'ów<sup>22</sup> i uniwersytetów: North Western University, Union College of Law, Chicago Manuel Training School i wielu innych; zapomnieć o artystach z dwudziestu trzech teatrów i kasyn miasta, takich jak: Grand Opera House, Jacobs' Clark Street Theater, tych z Auditorium i Lyceum; zapomnieć o ludziach z dwudziestu dziewięciu głównych hoteli, o obsłudze i kelnerach z tych dużych restauracji, które mogą przyjmować dwadzieścia pięć tysięcy klientów w ciągu godziny; nie można też zapomnieć o *packers*, czyli rzeźnikach z Great Union Stock Yard, którzy na rzecz firm Armour, Swift, Nelson, Morris i wielu innych zabijają miliony bydła i świń, po dwa dolary za sztukę! Czy można się dziwić, że spośród handlowych i przemysłowych miast Stanów Zjednoczonych Królowa Zachodu znajduje się zaraz za Nowym Jorkiem, skoro wielkość obrotów handlowych sięga tu rocznie trzydziestu miliardów dolarów!

Wiadomo że Chicago, na wzór wielkich amerykańskich miast, cieszy się zarówno absolutną, jak i demokratyczną wolnością. Decentralizacja jest tam całkowita, zatem, jeśli można pobawić się grą słów, to jakie przyciąganie sprawiło, że tego dnia ludzie scentralizowali się w okolicach La Salle Street?

Czy było to wystąpienie przeciw City Hall, że ludność miasta wyległa w hałaśliwej masie? Czy chodziło o nieodparty prąd spekulacji, który tu nazwa się *boomem*, o jakąś licytację ziemi, które tak wzburzają wszystkie umysły...? A może chodziło o jedną z walk wyborczych, które roznamietniają tłumy, o jakiś wiec, na którym konserwatywni republikanie i liberalni demokraci walczą o dostęp do Federal Building...? Może chodziło o otwarcie nowej World's Columbian Exposition<sup>23</sup> i wznowienie pod cienistymi drzewami Lincoln Park i wzdłuż Midway Plaisance pompacyjnych uroczystości, jak w 1893 roku...?

Nie, szykowano się do zupełnie innego rodzaju uroczystości, której charakter powinien być głęboko smutny, chyba że jej organizatorzy zdecydowali się zastosować do woli osoby, której ona dotyczyła, i przeprowadzić ją w atmosferze powszechnej radości.

O tej porze La Salle Street była całkowicie pusta, a to dzięki wielkiej liczbie policjantów rozstawionych na obu jej krańcach. Orszak, który przygotowywał się, by nią kroczyć, mógł bez żadnych przeszkód rozwinąć swoje procesyjne szeregi.

Jeżeli ulica ta nie była poszukiwana przez amerykańskich bogaczy na równi z alejami Prairie, Calumet i Michigan, przy których wznoszą się najwspanialsze pałace, to jednak należała do najbardziej uczęszczanych ulic miasta. Nosila nazwę na cześć Francuza, Roberta Cavalier de La Salle'a<sup>24</sup>, jednego z pierwszych podróżników, który w 1679 roku przybył zbadać okolicę tych wielkich jezior – człowieka bardzo sławnego w Stanach Zjednoczonych.

Widz, któremu udałoby się przedostać przez podwójny kordon policjantów, dostrzegłby mniej więcej na środku La Salle Street, przy skrzyżowaniu z Goethe Street, rydwan zaprzężony w sześć koni, stojący przed pałacem o wspaniałym wyglądzie. Przed i za tym pojazdem stał orszak, uszeregowany w doskonałym porządku, czekający jedynie na rozkaz wyruszenia.

Pierwsza połowa orszaku składała się z kilku kompanii milicjantów<sup>25</sup>, wszystkich w galowych mundurach pod dowództwem oficerów, orkiestry liczącej co najmniej setkę wykonawców i chóru śpiewaków o podobnej liczbie, który miał od czasu do czasu dołączać swój śpiew do muzyki orkiestry.

<sup>22</sup> *College* – szkoła półwzysza lub pomaturalna, zwykle kształcąca nauczycieli języka angielskiego, także jednostka organizacyjna uniwersytetu w krajach anglosaskich.

<sup>23</sup> *World's Columbian Exposition* – światowa wystawa handlowa zorganizowana z okazji 400-lecia przybycia Kolumba do Nowego Świata; odbywała się w Chicago od 1 maja do 30 października 1893 roku.

<sup>24</sup> René-Robert Cavalier de La Salle (1643-1687) – francuski odkrywca delty Missisipi, badacz Ameryki, ekszejuita, awanturnik, zamordowany na wybrzeżach Teksasu; w roku 1677 otrzymał od króla patent na odkrywanie terenów między Meksykiem, Florydą i Nową Francją, w 1678 wrócił do Kanady i zorganizował ekspedycję nad jezioro Erie, gdzie zbudował żaglowiec „Griffon”, pierwszy statek zbudowany na Wielkich Jeziorach; dotarł nim aż do Green Bay na jeziorze Michigan; zginął zamordowany przez współtowarzyszy podczas nieudanej wyprawy kolonizacyjnej – zamierzał stworzyć osadę w delcie Missisipi.

<sup>25</sup> *Milicja* – tu: rodzaj oddziałów, zazwyczaj ochotniczych, których członkowie mają wyszkolenie wojskowe i wyposażeni są w broń palną; stanowią jednostki pomocnicze lub rezerwowe dla regularnej armii; mogą być używane w stanie wyższej konieczności (kłęski

Rydwan był okryty draperiami z czerwonego lśniącego sukna, ozdobionego srebrnymi i złotymi lamówkami, na których wypisane były skrzące się jak diamenty trzy litery: WJH. Na powozie leżały bukiety, a raczej nęcza kwiatów, które byłyby rzadkością gdziekolwiek indziej niż w mieście znanym ogólnie pod nazwą Garden City<sup>26</sup>. Ze szczytu pojazdu, godnego pojawienia się z okazji narodowego święta, aż do ziemi zwisały girlandy kwiatów, podtrzymywane rękoma sześciu osób, trzech po prawej, trzech po lewej stronie.

Kilka kroków za rydwanem można było zobaczyć grupę około dwudziestu osobistości, w której znajdowali się między innymi: James T. Dawidson, Gordon S. Allen, Harry B. Andrews, John I. Dickinson, Thomas R. Carlisle itd., czyli członkowie Klubu Ekscentryków z Mohawk Street, wraz z jego prezesem Georgesem B. Higginbothamem; dalej członkowie Klubu Calumet z Michigan Avenue, Klubu Columbus z Monroe Street, Klubu Union League z Custom House Place, Klubu Irish American z Dearborn Street i czternastu innych klubów miasta.

Wszystkim wiadomo, że w Chicago znajduje się główna kwatery Dywizji Missouri i zwykle miejsce pobytu jej dowódcy. Rozumie się samo przez się, że ów komendant, generał James Morris, ze swym sztabem i starszymi oficerami przebywającymi w Pullman Building, tłumnie zajmowali miejsce za wspomnianą wyżej grupą osób. Następnie stali gubernator stanowy John Hamilton, burmistrz i jego asystenci, członkowie rady miejskiej, zarządcy hrabstwa przybyli ekspresem ze Springfield<sup>27</sup>, tej oficjalnej stolicy stanu Illinois, w której mieści się cała urzędowa administracja, jak również sędziowie Sądu Federalnego, którzy w przeciwieństwie do innych funkcjonariuszy, nie są wybierani w powszechnym głosowaniu, ale przez prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Na końcu orszaku tłoczył się i trącał łokciami świątek kupców, przemysłowców, inżynierów, profesorów, adwokatów, radców prawnych, lekarzy, dentystów, koronerów<sup>28</sup>, szeryfów, do których z chwilą, gdy kondukt wyjdzie już z La Salle Street, przyłączy się masy publiczności.

Prawdą było, że dla ochrony końca konduktu przed niekontrolowanym zalewem ludzi generał James Morris zgromadził silne oddziały kawalerii z dobytymi szabłami, których sztandary powiewały na dość silnym wietrze.

Ten długi opis wszystkich władz cywilnych i wojskowych, wszystkich stowarzyszeń i korporacji biorących udział w owej nadzwyczajnej ceremonii powinien być uzupełniony o jeden znamieny szczegół: bez każdy wyjątku uczestnik ceremonii miał w butonierce kwiat gardenii<sup>29</sup>, doręczany wszystkim przez majordomusa<sup>30</sup> w czarnym garniturze, stojącego na zewnętrznych schodach pałacu.

Ponadto pałac także przyjął dziś świąteczny wygląd. Wszystkie jego świeczniki i lampki elektryczne, jaśniejąc pełnym światłem, współzawodniczyły z ostrymi promieniami kwietniowego słońca. Szeroko otwarte okna ukazywały wielobarwne obicia wnętrza. Służba w odświętnej liberii ustawiła się na marmurowych stopniach głównych schodów. Wystawne salony były przygotowane na świąteczne przyjęcie. W jadalniach stały stoły, na których iskrzyły się masywne srebrne półmiski, cudowne zastawy stołowe chicagowskich milionerów oraz kryształowe puchary napełnione wyśmienitymi winami i najlepszymi markami szampanów.

Nareszcie z ostatnim wybiciem godziny dziewiątej na zegarze City Hall przy końcu La Salle Street zabrzmiały fanfary. Przestrzeń wypełnił trzykrotny zgodny okrzyk „Hurra!”. Na sygnał szefa policji orszak ruszył z rozwiniętymi chorągiewkami.

Na początku ze straszliwych instrumentów orkiestry wydobyły się miarowe takty *Columbus March* profesora Johna K. Paine'a<sup>31</sup> z Cambridge. Krokiem powolnym i miarowym kondukt kroczył La Salle Street. Prawie natychmiast wyruszył stępa powóz ciągnięty przez sześć koni okrytych luksusowymi czaprakami<sup>32</sup>,

---

żywiolowe, zagrożenie wewnętrzne lub zewnętrzne itp.); tego rodzaju milicje istnieją obecnie np. w Australii i Stanach Zjednoczonych (federalna Gwardia Narodowa, milicje stanowe).

<sup>26</sup> *Garden City* (ang.) – miasto ogrodów, miasto parków.

<sup>27</sup> *Springfield* – miasto w Stanach Zjednoczonych, stolica stanu Illinois, siedziba hrabstwa Sangamon.

<sup>28</sup> *Koroner* – w krajach anglosaskich biegły sądowy zajmujący się badaniem przyczyn, czasu, okoliczności śmierci osób zmarłych śmiercią nienaturalną.

<sup>29</sup> *Gardenia* (przepyszlin, *Gardenia*) – rodzaj rośliny okrytozalążkowej, drzewiastej, z rodziny marzanowatych (*Rubiaceae*), 100-200 gatunków krzewów i niskich drzew pochodzących z Azji Południowej i Afryki; liście skórzaste, kwiaty duże, wonne, żółte lub białe; kilka gatunków uprawia się na kwiaty cięte; także w doniczkach.

<sup>30</sup> *Majordomus* – zarządca wielkopańskich dworów.

<sup>31</sup> *Columbus March* (ang.) – Marsz Kolumba; *John Knowles Paine* (1839-1906) – pierwszy kompozytor urodzony w Ameryce, który zyskał sławę w dziedzinie monumentalnej muzyki orkiestrowej.

<sup>32</sup> *Czaprak* – czworokątny lub dostosowany kształtem do siodła płat futra, skóry czy płótna zakładany pod siodło jako osłona grzbietu konia.

z kitami pióropuszy na łbach. Girlandy kwiatów przeżyły się w rękach sześciu uprzywilejowanych osób, których wybór wydawał się wynikiem niepoważnego kaprysu losu.

Potem ruszyły kluby, władze wojskowe, cywilne i miejskie oraz tłum ludzi posuwający się za oddziałami kawalerii, jadącej w doskonałym szyku.

Nie trzeba chyba dodawać, że drzwi, okna, balkony, daszki, a nawet dachy zatłoczone były widzami w różnym wieku, z których większość zajęła te miejsca już poprzedniego dnia.

Kiedy pierwsze szeregi orszaku doszły do końca ulicy, skrzyły nieco w lewo, by dojść do alei ciągnącej się wzdłuż Lincoln Park. Jakiż niewiarygodne mrowisko ludzi zgromadziło się na dwustu pięćdziesięciu akrach tego zachwycającego terenu, który od wschodu oblewają marszczące się wody jeziora Michigan, z jego cienistymi alejkami, gajkami, trawnikami, zalesionymi wydmami, Laguną Winstona, pomnikami wzniesionymi ku czci Granta i Lincoln<sup>33</sup>, placami do parad wojskowych oraz oddziałem zoologicznym, w którym ryczały dzikie bestie i skakały małpy, chcąc się dostosować do tego całego poruszenia ludzkich mas! Ponieważ park w powszednie dni tygodnia jest zwykle pusty, więc obcy przybysz mógłby się zastanawiać, czy tego dnia nie była niedziela. Nie! Na pewno był to piątek – smutny i posępny piątek – który w tym roku przypadał na dzień trzeciego kwietnia.

Tymczasem ciekawscy wcale się tym nie zajmowali i wymieniali między sobą uwagi w czasie, gdy mijali ich orszak, niewątpliwie żałując, że nie stanowili jego części.

– Bez wątpienia – mówił jeden – uroczystość jest tak piękna, jak ceremonia poświęcenia naszej światowej wystawy!

– Prawda – stwierdził drugi – i dorównuje defiladzie z dwudziestego czwartego października na Midway Plaisance!

– A tych sześć osób, które idą przy rydwanie...! – wykrzyknął marynarz pływający po rzece Chicago.

– Które wrócą z pełnymi kieszeniami – zauważył robotnik z fabryki McCormicka.

– Nie ma co mówić, wygrali wielki los – zarżał wielki piwowar, wypacając piwo wszelkimi porami swego ciała. – Dałbym też chętnie bodaj tyle złota, ile sam ważę, żeby być na ich miejscu.

– I nic by pan na tym nie stracił! – przytaknął mu barczysty rzeźnik ze Stock Yards.

– Dzisiejszy dzień przyniesie im pakiety dobrych papierów wartościowych...! – powtarzano wokół nich.

– Tak... Już zbili fortunę...!

– I to jaką...!

– Dziesięć milionów dolarów dla każdego...

– Chciał pan powiedzieć: dwadzieścia milionów...

– Bliżej pięćdziesięciu niż dwudziestu!

Zaczawszy w ten sposób, dobrzy ludzie skończyli na miliardzie – słowie, którego używa się powszechnie w Stanach Zjednoczonych. Jednak należy zaznaczyć, że wszystkie te wypowiedzi opierały się na zwykłych przypuszczeniach.

Czy ta procesja miała obejść całe miasto...? Zatem gdyby w programie zostało ujęte takie wałęsanie się, nie starczyłoby na nie całego dnia.

Jakkolwiek było, zawsze z takimi samymi oznakami radości, ciągle przy hałaśliwych dźwiękach orkiestry i pieśniach członków amatorskiego chóru, którzy właśnie zaintonowali *To the Son of Art*<sup>34</sup>, przy okrzykach hip! hip! i hurra!, długa nieprzerwana kolumna dotarła przed wejście do Lincoln Park, gdzie dochodzi Fullerton Avenue. Wówczas skierowano się na lewo i podążano w kierunku zachodnim przez jakieś dwa kilometry, aż do północnej odnogi rzeki Chicago. Jezdnia między dwoma chodnikami, czarna od ludzi, była na tyle szeroka, że defilujący mogli się swobodnie poruszać.

Po przejściu mostu procesja poprzez Brand Street doszła do tej wspaniałej arterii, noszącej nazwę Humboldt Boulevard, ciągnącej się na długości jedenastu mil<sup>35</sup>, i po uprzednim skręceniu na zachód dalej biegnącej na południe. Orszak skierował się w tę stronę od Logan Square, po uprzednim oczyszczeniu przez policję, zresztą nie bez pewnego trudu, drogi prowadzącej między pięciokrotnym szpalerem widzów.

<sup>33</sup> *Ulysses Simpson Grant* (właśc. Hiram Ulysses, 1822-1885) – amerykański generał i polityk; od 1864 roku naczelny dowódca wojsk Unii w wojnie secesyjnej w latach 1861-1865, doprowadził do kapitulacji Konfederacji Południa; w latach 1869-1877 prezydent (wybrany jako kandydat Partii Republikańskiej); prowadził chwiejną i niekonsekwentną politykę w stosunku do pokonanego Południa; Abraham Lincoln (1809-1865) – amerykański polityk, prawnik, przeciwnik niewolnictwa, od 1861 roku prezydent USA.

<sup>34</sup> *To the Son of Art* (ang. *Do syna Arta*) – chodzi tu o Cormaca Ulfada („Długobrodego”) lub Cormaca mac Airt – na wpół legendarnego zwierzchniego król Irlandii z dynastii Milezjan (linia Eremona) w latach 254-277, syna Arta III Aonfera („Samotnika”) i Echtach, córki kowala Olc Achy (Alchataiga).

<sup>35</sup> *Mila* – tu: mila angielska (łądowa) równa 1609 m.

Począwszy od tego punktu, rydwan potoczył się aż do Palmer Square i pojawił się przed parkiem, również noszącym imię tego znakomitego uczonego pruskiego<sup>36</sup>.

Było południe. Na pół godziny zatrzymano się w Humboldt Park – był to całkowicie uzasadniony postój, ponieważ ta przechadzka miała potrwać jeszcze bardzo długo. Wielki tłum uczestników uroczystości mógł się swobodnie rozproszyć na tych zielonych terenach zajmujących powierzchnię ponad dwustu akrów<sup>37</sup>, odświeżanych żywo płynącymi strumykami.

Rydwan zatrzymał się, a orkiestra i chór rozpoczął wykonywanie pieśni *The Star-Spangled Banner*<sup>38</sup>, która została przyjęta głośniejszymi oklaskami, jakby to wszystko działo się w Music Hall w Casino.

Punktem najbardziej wysuniętym na zachód, który program uroczystości wskazywał pogrzebowemu orszakowi, był Garfield Park. Jak widzimy, temu wielkiemu miastu nie brakuje parków. Można by wymienić przynajmniej z piętnaście głównych – z których Jackson Park zajmuje obszar nie mniejszy niż pięćset osiemdziesiąt akrów – a razem obejmują dwa tysiące akrów lasów, zarośli, zagajników i trawników.

Kiedy znowu minięto zakręt, jaki tworzy Douglas Boulevard, kierując się ku wschodowi, pochód podążył w tym samym kierunku bulwaru i dotarł do Douglas Park, a stamtąd, przez South West, przekroczył południową odnogę rzeki Chicago, a potem kanał Michigan, biegnący dalej wzdłuż rzeki. Teraz już wystarczyło tylko zejść jakieś trzy mile na południe wzdłuż Western Avenue, by dotrzeć do Gage Park.

Właśnie wtedy wybiła trzecia po południu, więc w tym miejscu wyznaczono nowy postój, by później powrócić ku wschodnim dzielnicom miasta.

Tym razem orkiestra wprost oszalała, wygrywając z największym wigorem najwysze utwory w tempie dwie czwarte, najwściekłejsze allegra<sup>39</sup> wybrane z repertuaru Lecocq'a, Varneya, Audrana i Offenbacha<sup>40</sup>. Było aż prawie nie do uwierzenia, że ten cały świątek nie ruszył do tańca pod wpływem rytmów pochodzących z sal balowych. We Francji nikt by się temu nie zdołał oprzeć.

Pogoda była wspaniała, chociaż jeszcze panowały dość niskie temperatury. W pierwszych dniach kwietnia w klimacie, w jakim żyje Illinois, jest jeszcze daleko do zakończenia okresu zimowego i dlatego żegluga po jeziorze Michigan i rzece Chicago na ogół jest zawieszana od początku grudnia do końca marca.

Ale chociaż temperatura była jeszcze dość niska, powietrze było tak czyste, słońce zakreślające swoją krzywą linię na niebie bez żadnej chmurki wysyłało na ziemię tak olśniewające promienie, iż wydawało się, że „bierze udział w święcie”, jak wyrażają się sprawozdawcy przychyłnej prasy, i zwiastuje, że wszystko aż do samego wieczora pójdzie gładko.

Zresztą masy ludzi nie wykazywały żadnej tendencji do tego, by miały się zmniejszać. Jeśli nie byli to już ciekawscy z północnych dzielnic miasta, to jednak zastąpili ich gapie z dzielnic południowych, i byli równie dobrzy w okazywaniu entuzjazmu, wykrzykiwaniu „hurra!”, w czasie kiedy mijała ich ta dziwna procesja.

Co się týczyło różnych grupek tego orszaku, to zachowały taki sam porządek jak na początku przed pałacem na La Salle Street, i taki zapewne miał pozostać aż do czasu ukończenia tej długiej przechadzki.

Wyjeżdżając z Gage Park, rydwan skierował się na wschód i jechał Garfield Boulevard.

Na końcu tego bulwaru rozciąga się w całość swej wspaniałości Washington Park, który zajmuje obszar trzystu siedemdziesięciu jeden akrów.

Wielki tłum dosłownie go zatłoczył, tak jak miało to miejsce podczas wielkiej Światowej Wystawy, zorganizował się w jego sąsiedztwie. Od czwartej do wpół do piątej tutaj urządził sobie postój, podczas którego członkowie chóru, przy olbrzymim aplauzie i oklaskach niepoliczalnego audytorium, wykonali znakomicie *In Praise of God Beethovena*<sup>41</sup>.

<sup>36</sup> Pomyłka J. Verne'a; John McAuley Palmer (1817-1900) – amerykański polityk, kandydat na prezydenta w 1896 roku, w czasie wojny secesyjnej walczył po stronie Unii i dorobił się stopnia generała-majora.

<sup>37</sup> Akr (ang. acre) – jednostka powierzchni w krajach anglosaskich, równa ok. 4047 m<sup>2</sup>.

<sup>38</sup> *The Star-Spangled Banner* (ang. Gwiazdzisty Sztandar) – hymn państwowy Stanów Zjednoczonych; tekst do melodii Johna Stafforda Smitha z 1780 roku napisał Francis Scott Key; oficjalnym hymnem w XIX wieku był hymn brytyjski *God Save the Queen*, lecz z tekstem *My Country, 'Tis of Thee*; pieśń *The Star-Spangled Banner* jako hymn państwowy została zatwierdzona przez Kongres Stanów Zjednoczonych 3 marca 1931 roku.

<sup>39</sup> *Allegro* (muz.) – żywe, szybkie tempo (szybsze niż *allegretto*, a wolniejsze niż *presto*).

<sup>40</sup> Charles Lecocq (1832-1918) – francuski kompozytor, jeden z głównych twórców operetki francuskiej (*Małżeństwo w Chinach*, *Córka pani Angot*, *Giroflé-Girofla*); Louis Varney (1844-1908) – francuski kompozytor specjalizujący się w repertuarze operetkowym; Achille Edmond Audran (1840-1901) – francuski kompozytor najbardziej znany z kilku operetek, w tym *Zaślubiny Oliwetty*, *Maskotka*, *Konik polny i mrówka*, *Panna Helyett* i *Lalka*; Jacques Offenbach (1819-1890) – francuski kompozytor, twórca około 90 operetek, m.in.: *Orfeusz w piekle*, *Piękna Helena*, *Opowieści Hoffmanna*.

<sup>41</sup> *In Praise of God* (ang.) – *W chwale Boga*; Ludwig van Beethoven (1770-1827) – niemiecki kompozytor, jeden z najwybitniejszych twórców w historii muzyki.

Potem kontynuowano przechadzkę w cieniu parkowych drzew aż do tej jego części, która razem Midway Plaisance zawierała całość World's Columbian Fair, rozłożonych wewnątrz rozległych granic Jackson Park, na samym brzegu jeziora Michigan.

Czy pojazd zdążył do tego już tak sławnego miejsca...? Czy chodziło o jakieś uroczystości mające przywołać wspomnienie tych pamiętnych wydarzeń, które corocznie świętowane, nigdy nie pozwalały zapomnieć tej niezatartej daty, na zawsze uwiecznionej w chicagowskich annałach<sup>42</sup>...?

Nic z tych rzeczy. Po objechaniu Washington Park, posuwając się Cottage Grove Avenue, pierwsze szeregi milicji zatrzymały się przed parkiem, który *railways*<sup>43</sup> otaczają swoją gęstą stalową siecią w tej bardzo zaludnionej dzielnicy.

Orszak się zatrzymał i przed wejściem do parku w cieniu wspaniałych dębów instrumentalisci zagrali jeden z najbardziej porywających walców Straussa.

Czyżby ten park był kasynem<sup>44</sup> i jakaś olbrzymia sala czekała tam na cały ten ludzki świątek, zaproszony na jakiś pokaz jak podczas nocy karnawałowej...?

Właśnie bramy szeroko otworzyły swe podwoje i policyjni agenci jedynie za cenę wielkich wysiłków zdołali powstrzymać tłum, liczniejszy w tym miejscu, bardziej hałaśliwy, bardziej się przelewający niż gdziekolwiek indziej.

Tym razem jednak ciżba nie zdołała wtargnąć do parku, który ochraniały liczne oddziały milicji, dozwalając jedynie rydwanowi wjechać tam i zakończyć tę piętnastomilową przejażdżkę poprzez olbrzymie miasto...

Jednak park ten nie był parkiem... To był Oakswoods Cemetery<sup>45</sup>, najrozleglejszy z jedenastu cmentarzy Chicago... Natomiast ten rydwan był pogrzebowym karawanem, który przewoził do ostatniego miejsca zamieszkania śmiertelne szczątki Williama J. Hypperbone'a, jednego z członków Excentric Club<sup>46</sup>.



---

<sup>42</sup> *Annaly* – kroniki, roczniki.

<sup>43</sup> *Railway* (ang.) – kolej, linia kolejowa.

<sup>44</sup> *Kasyno* – tu: sala na występy, pokazy, rewie.

<sup>45</sup> *Oakswoods Cemetery* (ang.) – Cmentarz Dębowy.

<sup>46</sup> *Excentric Club* (ang.) – Klub Ekscentryków; w dalszej części tekstu będzie używana nazwa polska.

## Rozdział II

### *William J. Hyperbone*

Z tego, że panowie James T. Davidson, Gordon S. Allen, Henny B. Andrews, John I. Dickinson, Georges B. Higginbotham i Thomas R. Carlisle zostali wymienieni pośród znakomitych grup osobistości idących za powozem, nie należy koniecznie wnioskować, że byli najwybitniejszymi członkami Klubu Ekscentryków.

Faktycznie, prawdę mówiąc, co było dziwaczne w ich sposobie życia na tym ziemskim świecie, to okoliczność, że należeli do wspomnianego klubu z Mohawk Street. Być może ci znakomici synowie Jonatana<sup>47</sup>, wzbogaceni na licznych i zyskownych interesach dotyczących handlu ziemią, solonym mięsem, ropą naftową, linii kolejowych, kopalń, hodowli bydła czy wyrębów lasów, mieli może zamiar „wprawić w podziw” swoich rodaków z pięćdziesięciu jeden stanów Unii<sup>48</sup> oraz ze Starego i Nowego Świata<sup>49</sup> swoimi ultraamerykańskimi ekstrawagancjami. Należy jednak powiedzieć, że ich życie publiczne i prywatne nie przedstawiało niczego, co swoją naturą mogłoby zwrócić uwagę wszechświata. Było ich około pięćdziesięciu „wartych wielką kwotę podatków”, płacących wysokie stawki, nieutrzymujących stałych relacji z chicagowskim społeczeństwem, spędzających czas w swoich salonach na lekturze i grze, czytających wielką liczbę dzienników i przeglądów, grających na mniej lub bardziej wysokie stawki, jak we wszystkich klubach, i czasami rozmawiający z sobą o tym, czego już dokonali i co obecnie robili.

– Stanowczo nie jesteście wcale... ale to wcale dziwakami!

Był wszakże między nimi jeden człowiek, który okazywał większą skłonność do oryginalności niż jego koledzy. Chociaż jeszcze nie odznaczył się żadną serią głośnych dziwactw, to można było przypuszczać, że w przyszłości dokona czegoś nadzwyczajnego, co choć w części usprawiedliwi nazwę przyjętą przez sławny klub.

Jednak, niestety, na nieszczęście William J. Hyperbone umarł. Jednak prawdą było, że tego, czego nigdy nie zrobił za swego życia, dokonał, trzeba mu to przyznać, w pewien sposób po śmierci, ponieważ na jego wyraźne życzenie pogrzeb miał przebiegać przy wtórze ogólnej wesołości.

Zmarły William J. Hyperbone w czasie, kiedy nagle zakończył swój żywot, jeszcze nie przekroczył pięćdziesiątki. Będąc w takim wieku, był wciąż bardzo przystojnym mężczyzną, wysokiego wzrostu, szerokim w ramionach, o silnym torsie, raczej sztywnej postawie, ale niepozbawionej elegancji i pewnej szlachetności. Nosił ciemnoblond, krótko przyszyżone włosy, wachlarzowatą brodę, której jedwabiste złote nitki mieszały się ze srebrnymi. Pod krzaczastymi brwiami paliły się źrenice ciemnoniebieskich oczu. Usta z kompletem uzębienia, o trochę zaciśniętych wargach, z nieznacznie uniesionymi kącikami, wskazywały, że posiada temperament skłonny do żartów, a nawet do lekceważenia.

Ten wspaniały okaz Amerykanina z Północy cieszył się żelaznym zdrowiem. Nigdy żaden lekarz nie badał jego pulsu, nie oglądał języka, nie zaglądał do gardła, nie ostukiwał płuc, nie nadśluchiwał uderzeń serca i termometrem nie mierzył temperatury jego ciała. Tymczasem w Chicago nie brakowało lekarzy, jak również dentystów o profesjonalnych umiejętnościach zawodowych, którymi w jego przypadku nie mieli okazji w żaden sposób się wykazać.

Można więc było powiedzieć, że żadna machina – nawet w sile stu doktorów – nie zdołałaby go wciągnąć z tego świata i przewieźć na drugi, a jednak był martwy, martwy bez pomocy Medycyny. Ponieważ mimo wszystko przeszedł od życia do śmierci, to dlatego właśnie jego karawan stał teraz przed bramą Oakwoods Cemetery.

Uzupełniając portret fizyczny tego osobnika portretem umysłowym, należy dodać, że William J. Hyperbone miał chłodny temperament, bardzo pozytywne nastawienie i w każdych okolicznościach zawsze potrafił nad sobą zapanować. Jeżeli uważał, że życie tu, na ziemi, ma swój powab, to dlatego, że był filozofem. W sumie taka filozofia jest łatwa, gdyż wielki majątek zwalnia z wszelkich trosk o zdrowie i rodzinę i pozwala życzliwości dołączyć do szlachetności.

<sup>47</sup> *Synowie Jonatana* – aluzja do biblijnej historii Jonatana, najstarszego syna Saula, pierwszego króla Izraela, przyjaciela Dawida; wiedząc, że Dawid może zostać królem zamiast niego, Jonatan uratował Dawida przed Saulem; kiedy zginął w bitwie, Dawid hojnie wynagrodził jego potomków (2 Sm, 6-13).

<sup>48</sup> *Pięćdziesięciu jeden stanów Unii* – wg spisu stanów przy opisie gry, J. Verne oczywiście nie wymienia Hawajów i Alaski, ale dodaje Terytorium Indiańskie, które w 1907 roku zostało całkowicie włączone do nowego stanu Oklahoma, następnie Dominium Kanady oraz Dystrykt Kolumbii, potocznie zwany Waszyngtonem, czyli stolicę USA.

<sup>49</sup> *Nowy Świat* – Ameryka, w przeciwieństwie do Starego Świata – Europy.

Należy zadać sobie pytanie, czy logiczne jest oczekiwać czegoś ekscentrycznego od człowieka tak praktycznego i zrównoważonego. Czy w przeszłości tego Amerykanina było coś, co pozwalało tak przypuszczać...?

Tak, była taka jedna okoliczność.

Mając czterdzieści lat, William J. Hypperbone zamierzał oficjalnie poślubić jak najbardziej autentyczną stulatkę z Nowego Świata, której narodziny zapisano w 1781 roku, nawet w tym dniu, kiedy podczas wielkiej wojny kapitulacja lorda Cornwallisa<sup>50</sup> zmusiła ostatecznie Anglię do uznania niepodległości Stanów Zjednoczonych. Właśnie miał ją poprosić, by została jego żoną, kiedy zacna miss Anthonia Burgoyne zesła z tego świata w wyniku niemowlęcego koklusu<sup>51</sup>. William J. Hypperbone nie miał więc czasu, by zostać przyjęty i zaakceptowany. Jednak wierny pamięci czcigodnej panny, pozostał kawalerem, i to właśnie może uchodzić za ładny i dobry przykład ekscentryczności.

Od tamtego czasu nic już nie mąciło jego życia, gdyż nie pochodził ze szkoły wielkiego poety<sup>52</sup>, który w swoich wspaniałych wersach posunął się do takiego stwierdzenia:

*Och, śmierci, ponura bogini, która wszystko cofasz i usuwasz na bok,  
Przyjmij twoje dzieci w twojej piersi usianej gwiazdami,  
Uwolnij je od czasu, od liczby i od przestrzeni  
I przywróć odpoczynek, który im życie zmąciło!*

Doprawdy, dlaczego William J. Hypperbone miał myśleć o przyzywaniu „ponurej bogini”...? Czy kiedykolwiek czas, liczba czy przestrzeń męczyły go na tym ziemskim padole...? Czyż nie udało mu się wszystko na tym świecie...? Czyż nie był wielkim ulubieńcem losu, który zawsze mu sprzyjał i wprost obrzucał swymi łaskami...? Mając zaledwie dwadzieścia pięć lat, już mógł się cieszyć pewną fortuną i wiedział, jak ją dziesięciokrotnie powiększyć, stukrotnie pomnożyć, zwielokrotnić poprzez udane spekulacje, chroniony od wszelkich złych zdarzeń. Urodzonemu w Chicago wystarczyło iść z potężną falą rozwoju tego miasta, którego czterdzieści siedem tysięcy hektarów, oceniane w 1823 roku zaledwie na dwa tysiące pięćset dolarów, obecnie było wartych osiem miliardów dolarów. Wszystko działo się w bardzo łatwy sposób, bo kupowało się tanio, a odsprzedawało drogo tereny, które znalazły nabywców płacących dwa, a nawet trzy tysiące dolarów za jard<sup>53</sup> kwadratowy, przeznaczone pod budowę domów o dwudziestu ośmiu piętach. Poza tym mając udziały w kolejach, szybach naftowych, placarach<sup>54</sup>, William J. Hypperbone mógł się bogacić w taki sposób, że pozostała po nim ogromna fortuna. Doprawdy, miss Anthonia Burgoyne była niemądra, unikając takiego pięknego małżeństwa.

Mimo wszystko, jeżeli nie było nic zadziwiającego w tym, że nieubłagana śmierć zabrała stulatkę w takim wieku, to należało się dziwić, że William J. Hypperbone, nie mając nawet pół wieku, młody, w pełni swoich sił, postanowił do niej dołączyć na tamtym świecie, o którym nie było żadnych przesłanek, by sądzić, że jest lepszy.

A teraz, gdy już go nie było, na kogo przejdą miliony tego czcigodnego członka Klubu Ekscentryków...?

Przede wszystkim zastanawiano się, czy ten klub nie został ustanowiony jedynym spadkobiercą pierwszego swego członka, który porzucił doczesne życie od czasu jego założenia, co może zachęciłoby w późniejszym czasie jego kolegów do brania z niego przykładu.

Trzeba wiedzieć, że William J. Hypperbone spędzał w klubie przy Mohawk Street więcej czasu niż w swoim pałacu przy La Salle Street. Tam jadał posiłki, tam odpoczywał, tam się zabawiał, a największą jego przyjemnością – proszę na to zwrócić uwagę – była gra, lecz nie w szachy, jacqueta, będącego odmianą

<sup>50</sup> Charles Cornwallis (1738-1805) – angielski wojskowy i polityk, walczył w wojnie amerykańskiej o niepodległość po stronie Anglików (19 października 1781 roku pod Yorktown poddał się Washingtonowi, kończąc tym brytyjską dominację nad koloniami), od roku 1786 był gubernatorem generalnym Indii, wprowadził wiele reform, wiódł zwycięskie wojny z Majsurem, po nieudanych walkach z Francuzami w roku 1794 wrócił do Anglii, dowodził tłumieniem powstania w Irlandii, ponownie mianowany gubernatorem generalnym Indii w roku 1805, wkrótce potem zmarł.

<sup>51</sup> Koklusz – choroba zakaźna wieku dziecięcego przenoszona drogą kropelkową, charakteryzuje się napadami kaszlu i silną dusznością.

<sup>52</sup> J. Verne odwołuje się do Charles'a Marie René Leconte'a de Lisle'a (1818-1894), francuskiego poety, filozofa, filologa klasycznego i krytyka literackiego epoki romantyzmu, uznanego za najwybitniejszego przedstawiciela parnasizmu i jednego z najwybitniejszych poetów XIX-wiecznej literatury francuskiej; cytuje ostatnią zwrotkę poematu *Dies irae* (*Dzień gniewu*).

<sup>53</sup> *Jard* – miara długości używana w krajach anglosaskich, równa 0,9144 m.

<sup>54</sup> *Placer* – złożo okruczowe; termin stosowany zwłaszcza do bogatych złóż okruczowych złota, ale także diamentów, granatów, żelaza, rubinów czy szafirów.



tryktraka<sup>55</sup>, ani tym bardziej w karty: w bakarata, w trzydzieści i czterdzieści, lancknechta, pokera, pikietę, ecarte albo wista<sup>56</sup>. Dla niego istniała tylko jedna gra, którą on sam wprowadził do klubu i którą wolał od całej reszty.

Chodziło tu o grę „Gęsi”, grę szlachezną, niewiele zmienioną od czasów greckich. Nie da się prawie opisać, jaką namiętnością pałał do niej William J. Hypperbone – namiętnością, która w końcu udzieliła się także jego kolegom. Bardzo się emocjonował, przeskakując z jednego pola na drugie wedle kaprysu kostek do gry, rzucając się od gęsi do gęsi, by osiągnąć ostatniego z mieszkańców wybiegu dla drobiu, chodząc po „moście”, zatrzymując się w „hotelu”, błędząc po „labirynty”, wpadając do „studni”, zostając uwięzionym w „więzieniu”, potykając się o „trupią czaszkę”, odwiedzając pola: „marynarza”, „rybaka”, „portu”, „jelenia”, „młyna”, „węża”, „słońca”, „helmu”, „lwa”, „królika”, „doniczki z kwiatami” i tak dalej... i tak dalej...



<sup>55</sup> Tryktrak (ang. backgammon) – gra planszowa dla dwóch graczy; każdy gracz dysponuje 15 pionami w odrębnych kolorach, które przesuwa po planszy składającej się z 24 pól (trójkątów), nazywanych liniami, zgodnie z liczbą oczek wyrzuconych na dwóch kostkach; celem gry jest zdjęcie wszystkich swoich pionów z planszy; wygrywa gracz, który uczyni to pierwszy.

<sup>56</sup> Bakarata – popularna karciana gra hazardowa szeroko rozpowszechniona w kasynach, rozgrywana między bankierem i kolejno z każdym z graczy; trzydzieści i czterdzieści (znana także jako czerwone i czarne) – prosta francuska gra hazardowa znana od XVII wieku, nadal bardzo popularna w kasynach Europy; lancknecht – popularna od początku XX wieku gra hazardowa; wywodzi się z czasów wojny trzydziestoletniej, kiedy była popularna wśród żołnierzy zaciężnych – lancknechtów; pikietta – gra karciana dla dwóch osób, jedna z najstarszych i pochodząca z Francji; znana w XIV wieku pod nazwami ronflé i cent, rozpowszechniła się w wieku XV; obowiązujące zasady i zapisy ustalił Charles Picquet i od jego nazwiska pochodzi nazwa gry; ecarte – gra dla dwóch osób, polegająca na zdobywaniu lew; prowadzi się w niej specyficzną licytację – wymienianie kart i deklarowanie, czy uda się wygrać z danym zestawem; do gry używa się talii złożonej z 32 kart – od asa do siódemki; wist – gra karciana przy użyciu całej talii, w której cztery osoby grają parami przeciw sobie; składa się z licytacji i rozgrywki (wist i wint dały podstawy do brydża).

Nie trzeba chyba mówić, że w gronie takich osobistości Klubu Ekscentryków opłaty wynikające z reguł gry nie były małe, że liczone były w tysiącach dolarów i że wygrywający, chociaż tak bogaty, odczuwał znaczną przyjemność, wkładając do kieszeni znaczną sumkę.

Tak więc już od dziesięciu lat William J. Hypperbone spędzał w klubie całe dnie, z małymi przerwami przeznaczonymi na przechadzki wzdłuż jeziora Michigan. Nie wykazując skłonności do podróżowania po całym świecie, tak właściwej Amerykanom, ograniczał te podróże do terenu Stanów Zjednoczonych. A teraz, dlaczego jego koledzy, z którymi był w tak dobrych stosunkach, nie mieliby po nim dziedziczyć...? Czy nie byli jedynymi ludźmi, z którymi był związany więzami sympatii i przyjaźni...? Czy to nie oni każdego dnia podzielali jego namiętność do Szlachetnej Gry „Gęsi” i walczyli z nim na tym terenie, gdzie przypadek przynosił tyle zaskoczeń i niespodzianek...? Czy William J. Hypperbone nie pomyślał przynajmniej, by ufundować roczną nagrodę temu z jego partnerów, który między pierwszym stycznia a trzydziestym pierwszym grudnia wygrałby największą liczbę partii...?



Już najwyższy czas powiedzieć, że nieboszczyk nie posiadał rodziny, ani bezpośrednich czy też dalszych spadkobierców, ani żadnego krewnego związanego pokrewieństwem w stopniu dającym prawo do dziedziczenia. Jeśli więc umarł, nie rozporządziwszy swoim majątkiem, to naturalnie przechodził on na rzecz Republiki Federalnej, która, jak obojętnie jakie inne państwo monarchiczne, przyjęłaby fortunę, zupełnie nie dając się prosić.

W każdym razie, by dowiedzieć się, jaka była ostatnia wola nieboszczyka, należało udać się na Sheldon Street pod numer siedemnasty, do pana Tornbrocka, notariusza, i najpierw zadać mu pytanie, czy istnieje testament Williama J. Hypperbone'a, a następnie jakie zawiera klauzule i warunki.

– Panowie – zwrócił się pan Tornbrock do prezesa Georges'a B. Higginbothama i Thomasa R. Carlisle'a, którzy zostali wydelegowani przez Klub Ekscentryków do biura zaufanego notariusza – oczekiwałem waszej wizyty i czuję się nią zaszczycony...

– My także czujemy się zaszczycony – odpowiedzieli, kłaniając się, obaj członkowie klubu.

– Wybaczą panowie – kontynuował notariusz – ale przed zajęciem się testamentem, należy się zająć pogrzebem nieboszczyka...

– Jeśli chodzi o tę sprawę, to czy nie powinien zostać urządzony z przepychem godnym naszego kolegi...? – zapytał Georges B. Higginbotham.

– Ja mogę tylko zastosować się do instrukcji mego klienta, które są zawarte w tym dokumencie – odparł mistrz Tornbrock, wskazując na kopertę ze złamanymi pieczęciami.

– A więc ceremonia pogrzebowa... – zaczął Thomas R. Carlisle.

– Będzie równie wspaniała, jak wesoła, w towarzystwie orkiestry i członków amatorskiego chóru, wraz z udziałem publiki, która nie odmówi sobie wydawania wesołych okrzyków „hurra!” na cześć Williama J. Hypperbone'a...

– Tego można się było spodziewać po członku naszego klubu – zauważył prezes z potakującym kiwnięciem głowy.

– Nie może zostać pogrzebany jak zwykły śmiertelnik – dodał Thomas R. Carlisle.

– Ponadto William J. Hypperbone – mówił dalej pan Tornbrock – wyraził wolę, by całą ludność Chicago na jego uroczystym pogrzebie reprezentowała delegacja złożona z sześciu osób wylosowanych w specjalnych okolicznościach. W celu wykonania swego projektu już od kilku miesięcy gromadził w urnie nazwiska wszystkich obywateli Chicago obojga płci, mających od dwudziestu do sześćdziesięciu lat. Wczoraj, jak tego wymagały ode mnie złożone przez niego instrukcje, w obecności burmistrza i jego asystentów przystąpiłem do losowania. Następnie sześć pierwszych wylosowanych osób powiadomiłem listem poleconym o zamiarze nieboszczyka, i zaprosiłem je, by zajęły miejsca na czele orszaku pogrzebowego, prosząc, by nie uchylały się od obowiązku oddania mu pośmiertnych honorów...

– A oni na pewno tego nie odmówią! – zawołał Thomas R. Carlisle – ponieważ mamy prawo sądzić, że zostaną szczególnie wyróżnione przez testatora<sup>57</sup>... a może nawet zostaną ustanowione jego spadkobiercami...

– To jest możliwe – odparł rejent – a ja nie byłbym zdziwiony, gdyby tak się stało.

– A jakie warunki musiały spełnić te osoby, które wybrał los...? – chciał się dowiedzieć prezes Georges B. Higginbotham.

– O, tylko jeden warunek: musiały się urodzić w Chicago i w tym mieście zamieszkiwać.

– Jak to...? I nic więcej?

– Zupełnie nic.

– Rozumiem – powiedział Thomas R. Carlisle. – A teraz chciałbym wiedzieć, panie Tornbrock, kiedy otworzy pan testament...

– Dwa tygodnie od daty zgonu.

– Dopiero po dwóch tygodniach...?!

– Dopiero... jak zostało napisane w tej notatce, która jest do niego załączona... czyli w konsekwencji piętnastego kwietnia...

– Z jakiego powodu ta zwłoka?

– Mój klient chciał, by zanim publiczność dowie się o jego ostatniej woli, nie zachodziła już żadna wątpliwość co do jego rzeczywistej śmierci.

– Co za praktyczny człowiek z naszego przyjaciela Hypperbone'a! – stwierdził Georges B. Higginbotham.

– Nie można bardziej troszczyć się o siebie w takich poważnych okolicznościach – dodał Thomas Carlisle – zwłaszcza kiedy nie zostaje się spopielonym...

<sup>57</sup> Testator – spadkodawca, osoba, której majątek przechodzi z chwilą jej śmierci na spadkobierców.

– A i wówczas ryzykuje się bycie spalonym żywcem...

– Oczywiście – dodał prezes – ale wówczas przynajmniej już się ma pewność niezawodnej śmierci!

Ponieważ jednak nie było mowy o paleniu ciała Williama J. Hyperbone'a w krematorium, zwłoki złożono do trumny osłoniętej draperiami zwisającymi z karawanu.

Jak można sobie wyobrazić, kiedy wieść o zgonie Williama J. Hyperbone'a rozeszła się po mieście, wywołała niesamowite poruszenie.

Oto co było wiadomo na początku.

Trzydziestego marca po południu czcigodny członek Klubu Ekscentryków siedział z dwoma swymi kolegami przy stole z planszą do Szlachetnej Gry „Gęsi”. Właśnie wykonał pierwszy rzut kostką i otrzymał dziewięć oczek, na co składały się szóstka i trójka. Był to szczęśliwy początek, który przerosł go aż na pięćdziesiąte szóste pole.

Nagle krew uderzyła mu do głowy, kończyny zeszywniały. Chciał się podnieść. Stał na chwiejnych nogach, wyciągnął ręce i upadł na parkiet, gdyby John T. Dickinson i Harry B. Andrews nie złapali go za ramiona i nie położyli na kanapie.

Natychmiast zawezwano lekarza. Przyszło ich dwóch. Stwierdzili, że William J. Hyperbone doznał wylewu krwi do mózgu i że to już koniec. Bóg wie, jak dobrze doktor H. Burnham z Cleveland Avenue i doktor S. Buchanan z Franklin Street znali się na śmiertelnych przypadkach!

Godzinę później nieboszczyk został przewieziony do pokoju w swoim pałacu, gdzie natychmiast przybył, nie tracąc ani chwili, wcześniej powiadomiony mistrz Tornbrock.

Pierwszą czynnością notariusza było otworenie koperty, w której znajdowały się dyspozycje nieboszczyka dotyczące jego uroczystego pogrzebu. Po pierwsze, został poproszony o wylosowanie sześciu osób, które miały dołączyć do konduktu, a których nazwiska, wraz setkami tysięcy innych, znajdowały się w ogromnej urnie stojącej na środku hallu.

Kiedy poznano już dziwną klauzulę, można sobie łatwo wyobrazić, jaka chmara dziennikarzy natarła na pana Tornbrocka. Byli tam reporterzy z gazet: „Chicago Tribune”, „Chicago Inter Ocean”, „Chicago Evening Journal”, które są republikańskie, czyli konserwatywne, z „Chicago Globe”, „Chicago Herald”, „Chicago Times”, „Chicago Mail” i „Chicago Evening Post”, które są demokratyczne, czyli liberalne, ci z „Chicago Daily News”, „Daily News Records”, „Freie Presse”, „Staats Zeitung” – prasy niezależnej. Przez pół dnia pałac przy La Salle Street był kompletnie zatłoczony. I czy ci wyszukiwacze cennych wiadomości, dostawcy faktów, redaktorzy kronik sensacyjnych, ci reporterzy – żeby nie powiedzieć „gieldziarze” – którzy wrywali się jeden przez drugiego, chcieli się dowiedzieć szczegółów o śmierci Williama J. Hyperbone'a, do której doszło tak niespodziewanie w chwili sławnego rzutu kostkami dającego cyfrę dziewięć złożoną z trójki i szóstki...? Nie! Chodziło im o nazwiska tych sześciu uprzywilejowanych osób, które wyciągnięto z urny.

Jednak pan Tornbrock, przygnieciony ich liczbą, wywinął się z kłopotu w wysoce praktyczny sposób, co zresztą jest charakterystyczne – i to w najwyższym stopniu – dla większości jego rodaków. Postanowił wystawić owe nazwiska na przetarg i zaferować je gazecie, która zaproponuje najwyższą cenę, ale pod warunkiem, że wylicytowana kwota zostanie podzielona między dwa z dwudziestu jeden szpitali miasta.

Przetarg wygrała „Tribune”. Dziesięć tysięcy dolarów – taką kwotę dziesięciu tysięcy dolarów po zaciętej walce z „Chicago Inter Ocean” wylicytowała.

Tego dnia dyrektorzy Charitable Eye and Ear Illinois Infirmary<sup>58</sup> z W. Adams Street 237 oraz z Chicago Hospital for Women and Children<sup>59</sup> z W. Adams Corner Paulina z wielkiej radości zacierali ręce!

Ale jaki sukces następnego dnia odniósł potężny dziennik i jakże zyskał z dodatkowego nakładu dwóch milionów pięciuset tysięcy egzemplarzy! Trzeba było je dostarczyć setkami mil do pięćdziesięciu jeden stanów, z których wówczas składała się Unia.

„Nazwiska! – wykrzykiwali gazeciarze. – Nazwiska śmiertelników ze wszystkich najszczęśliwszych, których w drodze losowania wybrano spośród ludności Chicago!”

Oni byli sześcioma, jak ich nazywano, „szczęściarzami”, dodając jednocześnie to słowo do słownika, który wkrótce ukończy Akademia Francuska<sup>60</sup>, albo w skrócie mówiono o nich „Szóstka”.

<sup>58</sup> *Charitable Eye and Ear Illinois Infirmary* (ang.) – Dobroczynny Szpital Oczu i Uszu z Illinois.

<sup>59</sup> *Chicago Hospital for Women and Children* (ang.) – Chicagowski Szpital dla Kobiet i Dzieci.

<sup>60</sup> *Akademia Francuska* (*Académie française*) – stowarzyszenie naukowe założone w roku 1635 w Paryżu przez kardynała Richelieu, liczące 40 członków o kadencji dożywotniej; według statutu opiekuje się językiem francuskim, strzeże jego czystości, wydaje słownik języka francuskiego.

Zresztą dla „Tribune” takie hałaśliwe wydarzenie nie było żadną nowością, kto bowiem miałby być najlepiej poinformowany jak nie dziennik z Dearborn i Madison Streets, którego kapitał wynosi milion dolarów, a akcje, które zostały wyemitowane po tysiąc dolarów każda, teraz są warte dwadzieścia pięć tysięcy...?

Ponadto oprócz numeru z dnia pierwszego kwietnia, „Tribune” opublikowała sześć nazwisk na specjalnej oddzielnej liście, którą jej agenci rozprowadzili w wielkich ilościach do najbardziej odległych miast republiki Stanów Zjednoczonych.

A oto jak w porządku wyznaczonym im przez los przedstawiały się te nazwiska, które przez wiele miesięcy miały krążyć po świecie w związku z nadzwyczajnymi perypetiami, jakie nigdy nie przysłyby na myśl najprzemysłniejszemu z francuskich powieściopisarzy:

Max Réal  
Tom Crabbe  
Hermann Titbury  
Harris T. Kymbale  
Lissy Wag  
Hodge Urrican

Jak widać, z tych sześciu osób pięć należało do silniejszej płci, a tylko jedna do słabej – o ile taka kwalifikacja jest poprawna, gdy chodzi o kobiety amerykańskie.

Tymczasem publicznie ciekawość od samego początku nie została całkowicie zaspokojona. Kim byli właściciele sześciu nazwisk, gdzie oni żyli, do jakiej klasy społecznej należeli...? Tego „Tribune” z początku nie potrafiła przedstawić swoim niezliczonym czytelnikom.

Czy wybrańcy pośmiertnej loterii jeszcze w tej chwili żyli...? Było to także bardzo ważne pytanie.

Faktycznie, wkładanie nazwisk do urny trwało już jakiś czas, kilka miesięcy, i przyjmując, że żadna z wyznaczonych przez los osób nie umarła, to mogło się przecież zdarzyć, że jedna lub nawet kilka mogły opuścić Amerykę.

Ale gdyby nawet tak mogły zrobić, to chociaż nigdy nie rozmawiano z nimi o tej sprawie, one powróciłyby, by zająć swoje miejsce przy karawanie. Co do tego nie było żadnych wątpliwości. Czy było prawdopodobne, żeby odpowiedzieli odmownie na dziwne, ale poważne zaproszenie Williama J. Hyperbone’a – przynajmniej po śmierci dziwaka – żeby się wyrzekli korzyści, jakie dla nich zarezerwował, w czym utwierdzał ich testament zdeponowany w kancelarii pana Tornbrocka...?

Nie! Wszyscy ci ludzie stawiliby się, ponieważ mieli poważny powód, by czuć się spadkobiercami wielkiego majątku nieboszczyka, bo w innym przypadku spadek bez wątpienia wpadły w ręce łakomych władz państwa.

Było to dobrze widać, kiedy trzy dni później „Szóstka”, nie znając się nawzajem, pojawiła się w pałacu przy La Salle Street przed notariuszem, który po stwierdzeniu tożsamości każdej osoby, oddał w ich ręce wieniec karawanu.

Jakim też przedmiotem ciekawości się stali, a jednocześnie zawiści! Ponieważ na polecenie Williama J. Hyperbone’a podczas tego nadzwyczajnego pogrzebu zostały zakazane wszelkie oznaki żałoby, oni zastosowali się do tej klauzuli ogłoszonej w czasopiśmie i pojawili się w świątecznych ubiorach, które z powodu ich jakości i kroju wskazywały, że należeli do bardzo różnych klas społecznych.

Oto w jakim porządku zostali rozstawieni:

W pierwszym rzędzie Lissy Wag po prawej, a Max Réal po lewej stronie karawanu.

W drugim rzędzie Hermann Titbury po prawej, a Hodge Urrican po lewej.

W trzecim rzędzie Harris T. Kymbale po prawej, a Tom Crabbe po lewej.

Kiedy zajęli swoje miejsca, pozdrowiło ich tysiące okrzyków „hurra!”, które jedni uznali za miły gest, a innym one nie odpowiadały.

Gdy tylko szef policji dał sygnał, ruszyli w drogę i szli tak przez osiem godzin ulicami, alejami i bulwarami wielkiego miasta Chicago.

Z całą pewnością sześć osób zaproszonych na uroczysty pogrzeb Williama J. Hyperbone’a zupełnie się nie znało, ale wkrótce zaczęło zawierać znajomość. I kto wie, ponieważ chciwość ludzka jest nienasycona, czy ci kandydaci do przyszłego spadku nie traktowali się już jak rywale i czy nie obawiali się, że majątek przypadnie jednemu z nich, zamiast zostać podzielony między sześciu...!



Zobaczyliśmy, jak wspaniały pogrzeb przechodził pośród niesamowitego zgromadzenia publiki, od La Salle Street aż do cmentarza Oakswoods, jakie utwory śpiewano, jakie grała orkiestra, które nie miały w sobie nic żałobnego, i jakie wesołe okrzyki uznania na cześć nieboszczyka wydawano na całym dystansie pokonanym przez orszak pogrzebowy!

Teraz nie pozostawało nic innego jak wejść do okręgu umarłych i złożyć w głębi grobowca, by pospał sobie wiecznym snem tego, który był Williamem J. Hypperbone'em, członkiem Klubu Ekscentryków.



**Chcesz przeczytać dalszą część?**  
*Zapraszamy do księgarni!*